

Zeszyty Łukowieckie

Numer 3

Wrzesień-Grudzień 2003 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

Trzeci „Zeszyt” poświęcony jest w dużym stopniu „Piorunowi” - panu **Piotrowi Królowi** zastępcy komendanta bazy „Topór” czyli Łukowca i dowódcy oddziału osłonowego. Opowieści o tym człowieku są wśród Łukowian wciąż żywe, a on sam budzi emocje, od podziwu aż po krytykę od uznania i uwielbienia, po lęk i zadumanie. Był dowódcą najbardziej ruchliwego na Łukowcu oddziału - osłonowego, karnego, zdyscyplinowanego, zdeteterminowanego, gotowego do obrony wsi za wszelką cenę.

Był jednym z wielu, partyzantów których przysłano na Łukowiec z zewnątrz, aby bronić wioski. Dowództwo bazy szybko zorientowało się, iż wyróżnia się on nie tylko nieprzeciętną odwagą ale także znajomością broni, zasad walki, zna mentalność niemieckich żołnierzy, dobrze włada językiem wroga i jest gorącym patriotą. To wszystko sprawiło, że błyskawicznie awansował na stanowisko Zastępcy komendanta bazy. „Piorun” po wojnie osiedlił się w Opolu, z dala od łukowian. Pozostał nadal postacią bardzo tajemniczą



Do dzisiaj ludzie dysku tują nad tym, czy wszystko było w porządku, czy decyzje, akcje, dyscyplina, a nawet wykonywane wyroki śmierci były potrzebne. Czy ten lub inny musiał zginąć? Jakie są naprawdę zasługi „Pioruna”?

- Co winien jest on ludziom?

- A może odwrotnie: Co łukowianie zawdzięczają temu człowiekowi?

1. Wspomnienia z życia „Pioruna”.
2. Zdjęcia partyzantów.
3. Zdjęcia z Łukowca i powojenne.
4. Władysław Kopala -wspomnienie.
5. 100 lecie Kasy Stefczyka.
6. Dokumenty.
7. Życiorysy, ciekawostki, historyjki, opowiadania.

i choć nie zginął całkowicie z pola widzenia byłych mieszkańców Łukowca, gdyż ożenił się z córką sołtysa Łukowca Wiszniowskiego; Zofią Cacaj i utrzymywał kontakty z kilkoma swoimi kolegami, między innymi z Janem Maciagiem, moim ojcem, panem Polakiem, rodziną swojej żony, to jednak nadal pozostał człowiekiem, którego imię łukowianie wypowiadali jak jakieś zaklęcie. Wzbudzał nieprzeciętne emocje i zainteresowanie, jakby nie wiadomo co zrobił i nie wiadomo dlaczego. Wielu ludziom na Łukowcu wydawało się, że „Piorun” to nie był tylko obrońca, ale także ich sędzia. Wszystkim, o czym rozmawiałem z Panem Piotrem podzielię się z czytelnikami „Zeszytów”. Chcę jednak zaznaczyć, że w ferworze rozmów o wielu sprawach, po prostu nie dało się rozmawiać np: o zbrojnych akcjach, jakie miały miejsce w stosunku do banderowców. Nawet gdy Pan Piotr powiedział: - Pytaj mnie jeszcze o co chcesz?. - Nagle zorientowałem się, że w zasadzie wszystko najważniejsze mi powiedział. Więc zapytałem: Czy to prawda, że tylko moją mamę wysyłał z meldunkami! - odrzekł - prawda. - Nie myślisz chyba, że to było coś nie fair — ona była po prostu najlepszą łączniczką i znali ją tam, gdzie szła. - Odparłem, że tylko chciałem się zorientować, czy to tak było naprawdę czy mama czasem nie przesadzała - Nie odrzekł - nie przesadzała, często byłem u Faszynkiedrów. Czekałem na twoją mamę i widziałem jak twoja babcia się denerwuje. Ale nie było na to rady. Byli też i inni łącznicy, z których korzystał Polak, w tym także i z twojej mamy, a ja praktycznie tylko jej powierzałem tę funkcję. A co stało się z Ukraińcami, którzy przewozili przez Łukowca sól? Odparł: „Było 21 furmanek i 45 Ukraińców, po przeszukaniu wszystkich wozów puściliśmy ich wolno”.

- Ale panie Piotrze - powiedziałem - po zatrzymaniu tej soli Rosjanie, jak mi mówił Pan Kureń zabili 13 ludzi - Pan Piotr odpowiada: - „To był inny transport - były wtedy tylko dwa wozy - też je puściliśmy. Podobno, jak wyjechali już z Łukowca ktoś ich ograł. Poskarżyli się więc Rosjanom,

a ci tyralierą ruszyli na wieś strzelając do każdego kogo napotkali. To zdarzenie miało miejsce w marcu 1945 roku. Rosjanie szli z Hrehorowa do środka wsi. - Wtedy doszło do straszliwej masakry. Wiem - powiedziałem, iż wśród zabitych byli: Władysław Stec - dowódca placówki na Warszawce, Ordon z 5 letnią córeczką, Wróbel i wielu innych. „Tak to się zgadza” - potwierdził Pan Piotr. Następnie pytałem o liczbę uratowanych na Łukowcu ludzi. - Odpowiedz: „Dziesięć tysięcy!” - Ciągłe ta liczba się powtarza, jakby się umówili Piorun, ojciec i Polak i nawet pan Kureń też tę liczbę wymienia. Czy faktycznie tylu ludzi było? - Pan Piotr odpowiada: „Na jedną rodzinę z Łukowca przypadało dwie rodziny uciekinierów. U gospodarzy, którzy mieli dużo zabudowań, zamieszkiwało nawet po kilkanaście osób np. u Krycińskich dwadzieścia jeden osób, u Turbaków około dwudziestu. Zastanawia mnie, czy dziś można jakoś tych ludzi policzyć. - Może transportami, których było do Polski 6 czy 7 - po ilu ludzi mogło być w każdym z nich. Do tej sprawy jeszcze wróć! - Pragnę też wyjaśnić, że wołałem aby Pan Piotr mówił o sobie - to co uważa za najważniejsze i choć z tego zrobiłem jedną całość - wiem, że nie jest to pełny obraz sytuacji w Łukowcu. - Albo, nawet jest to tylko jakaś mała część „Pioruna”, ta którą nam odkrył - Może dziwna może nie taka jaką sobie ludzie wyobrażają, tym niemniej fascynująca i zastanawiająca. I jeszcze jedno. Gdy rozmawiałem z kilkoma łukowianami mówiąc, że mam nadzieję, iż „Piorun” przyjedzie do mnie, ci odpowiadali - „Ależ panie Franku - „Piorun” jest w Niemczech gdzie tyli świat?” - Zaraz po przyjeździe zadzwoniłem do Pana Edwarda Sabata i zaprosiłem go do siebie. - Był rozmawiał z „Piorunem”. - Jeszcze przed spotkaniem poprosiłem „Pioruna” żeby namówił Sabata by pomagał mi przy pracach nad „Zeszytami” - Pamiętał, rozwiął wątpliwości pana Edwarda, iż był za młody, że może to niewiarygodne będzie,

co on sądzi „Mając 10 - 12 lat najlepiej się wszystko pamięta” - powiedział.

Rozmawiali o transportach ludzi do Polski, o radości, kiedy zatrzymani na granicy przez Rosjan trzej chłopcy z Łukowca, dogonili transport pod Rzeszowem. „Pan wie panie Piotrze jak ludzie się cieszyli - dzieci, starsi, kobiety - jakby ich jaki szal ogarnął że znowu transport jest w komplecie” (wspomnienie o tym transporcie autorstwa Edwarda Sabata znajduje się w dalszej części „Zeszytu”). Pan Piotr chciał bardzo odwiedzić Józefa Kurenia, ale miałem na drugi dzień wizytę mojej siostry Jadwigi, którą zna pan Piotr lepiej niż mnie i w ferworze rozmów zapomnieliśmy o tej możliwości i nie udało się, choć na moment, podjechać do pana Kurenia.

Pan Piotr chętnie spotkałby się jeszcze z ludźmi z Łukowca. - Odparłem mu, iż jest to możliwe - Brunów jest niedaleko - wieś w której ponad połowa ludzi to łukowianie. Stary Dwór godzina jazdy, a Osiek, Mieczków, Zabłocie, Jenkowice, to już tam jest to serce Łukowca.

Zapytałem również o „Wojtkę” - dzwon, kościelny, który Polacy ukryli opuszczając Łukowiec - Może po tylu latach należało by go oddać Ukraińcom. - Ależ ja nie mam nic przeciwko temu - odparł: „Prawdę mówiąc o tym zatopionym dzwonie dowiedziałem się już po wojnie. - Jak go wydobędą to niech tam im dzwoni na chwałę Bożą” - W którym stawie jest ten dzwon - zapytałem - Odpowiedział: „Na Łukowcu staw był tylko jeden!”

Dziś Piorun jest człowiekiem w podeszłym wieku. Mówi - nie ma innej drogi, jak pojednanie, czy tego chcemy, czy nie. Bez względu na to, co ludzie czują, właśnie w tym kierunku trzeba iść. I może to są najważniejsze słowa, jakie pan Piotr Król „Piorun” wypowiedział do nas wszystkich. W nowej Europie, otwarty kraj Polska - dodał jeszcze: - „Na Kresach spędziłem najtrudniejsze lata mojego życia - kocham ludzi z Kresów bardziej niż Śląsk i Ślązaków”. Wiadomo, że ma na myśli Łuko-wian i ludzi, którzy w latach wojny

tam przebywali.

Wszystko co Piorun powiedział o sobie zamknąłem w opisie „Wspomnienia z życia Pioruna” w trzech rozdziałach: „Nim dotarłem na Łukowiec” „Na Łukowcu” i „Po Łukowcu”. Starąłem się z tych wspomnień, zrobić jedną całość. Zdaję sobie sprawę, że ma ona sporo luk i może jakieś niedomówienia. Jednak wiem, że są ludzie, dla których każde słowo „Pioruna” znaczy wiele.

Wspomnienia z życia „Pioruna” (Piotra Króla) .

Nim dotarłem na Łukowiec

Kiedy w 1942 roku powołano mnie wraz z 500 innymi chłopcami z okolic Lublińca do wojska, byłem zrozpatrzony. To ja, Polak, mam służyć w wermachcie - Nie nigdy!. Przetransportowano nas poborowych na drugi koniec Niemiec do Heidelbergu. Tam szef naszego wyszkolenia pyta: „Kto mówi po niemiecku” - nie ma rąk w górze. O mówi: „Tu jeszcze trzeba was i niemieckiego uczyć!”. I zaczęło się: nauka obchodzenia się z bronią, strzelanie, obsługa dział i sprzętu z czołgami włącznie słowem, niemiecki ordnung i niemiecki żołnierz. Po trzech miesiącach przysięga. Po cztery czwórki stawaliśmy naprzeciwko siebie i przysięgaliśmy. Ja modłę się i przysięgam Matce Boskiej Częstochowskiej, bronić Polski do ostatniej kropli krwi.

Dalej nauka, ćwiczenia, musztra. Raz szokujące dla mnie wydarzenie. Ludność Heidelbergu żegna SS-manów idących na front wschodni. Podszedłem bliżej i słyszałem jak matka mówi do syna: „Tylko pamiętaj synku, codziennie módl się. Codzienni i przyrzeknij mi to!” - SS-man przyrzekł! - Pomyślałem - O niech mnie kule, to też człowiek, ma sumienie. Cała grupa 500 żołnierzy po przeszkoleniu została rozparcelowana na różne strony Europy - ja znalazłem się w Stanisławowie w koszarach jako żołnierz wermachtu. Nasze zadania to była głównie ochrona

transportów idących na front wschodni. Pragnąłem tylko jednego, uciec do Polaków. Gdy któregoś dnia jadąc z kilkoma niemieckimi żołnierzami pociągiem nadarzyła się okazja porozmawiania z rewidentem kolejowym, zaryzykowałem i powiedziałem mu, że jestem Polakiem wcielonym na siłę do niemieckiego wojska, że szukam kontaktu z partyzantką. Obiecał mi adres, jak będziemy jutro wracać i dotrzymał słowa. Dał kontakt z informacją, że od razu mogę zgłosić się do Stanisławowa na ul. Nowy Świat 5 i tam mnie ukryją.

Człowiek, który mi pomógł, nazywał się Kamiński był z pochodzenia Włochem. Nazwisko włoskie "Caldirado" zmienił na polskie, bo czuł się Polakiem. Jego żona była sprzątaczką w budynku gestapo w Stryju. Piękna kobieta. Szef gestapo zakochał się w niej. Kamiński zgodził się na rozwód i wykorzystał ten straszliwy układ dla AK. Jego była żona starała się także być w wielu sprawach przydatna dla swoich - dla polskiego podziemia. Jakiś czas mieszkalem w Stanisławowie, a gdy któregoś dnia powiadomiono moich chlebowców, że będzie u nich rewizja Caldirado, który w dalszym ciągu martwił się o mnie, przerzucił mnie do swojego rodzinnego miasta, do Stryja. Tu byłem ukrywany w różnych miejscach. Kontaktowano mnie z podziemiem polskim. Między innymi rozmawiałem z oficerami podziemia. Poznałem Pacaka - Kuźmirskiego - dowódcę Inspektoratu stryjskiego AK. Parę dni przesiedziałem w budynku gestapo w wyznaczonym dla mnie przez nią żonę Kamińskiego pomieszczeniu i stąd samochodem gestapowskim wywieziono mnie poza miasto Stryj. Niby oficjalnie żona szefa stryjskiego gestapo jechała po prowiant na wieś, a ja, jako znajomy, miałem być podrzucony do jakiejś tam wsi. - Tak naprawdę chodziło o wywiezienie mnie do partyzantki, do wsi Mierciuki. Widok samochodu niemieckiego jakoś wszystkim tak utkwiał w głowach i nie mogli ludzie tego

zrozumieć i ciągle do tego wracano - jak to może być, że mnie przywieźli gestapowcy. - Nawet po wielu miesiącach i na Łukowcu przypominano mi ten fakt., a ja przecież nie mogłem wszystkim mówić, że tam AK ma swoich ludzi.

W Mierciukach była sytuacja zadziwiająca - trzech zwalczających się komendantów działających na zasadzie, który ważniejszy. Jednym z nich był naczelnik poczty, drugi austriackim oficerem, a trzecim był... (padają nazwiska wszystkich trzech komendantów). Po ułożeniu mnie i krótkim odpoczynku sam Pacak - Kuźmirski odebrał ode mnie przysięgę, nadał mi pseudonim „Piorun” oraz przydzielił kwaterę. Wraz z partyzantem o nazwisku Gentelmann otrzymaliśmy zadanie zdobywania jak największej ilości broni i amunicji. Język niemiecki znacie, pistolety pod pachę i do akcji. W krótkim czasie udało się nam zdobyć kilkanaście sztuk broni i 60 kg amunicji. Raz, obrobiliśmy Niemców, którzy przyjechali do sąsiedniej wsi na dziewczyny. Innym razem obskubaliśmy transport stojący w Stryju i jeszcze kilka podobnych akcji. Mój partner Gentelman był to Volksdeutsch z okolic Stryja z pochodzenia Niemiec. Wcielony do wermachtu uciekł do polskich partyzantów, gdyż uważał, iż tam jest jego miejsce. Słowem było to porządny człowiek. Mieliliśmy sukcesy, były pochwały i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Kiedyś dziewczyna, której pomagałem często w pracy przy żarnach, podeszła do mnie i mówi: „Chyba coś niedobrego dzieje się wokół ciebie, bo twój kolega nie żyje”. Nie mogłem w to uwierzyć. A ona mówi: „Idź na dół wsi, tam stoi kilku naszych chłopaków, a jeden ma na sobie sweter twojego kolegi z dziurami na piersiach” - Idę i widzę w swetrze mojego kolegi jest młody chłopak partyzant. - Zaniemówiłem. Wyciągnąłem pistolet waltera i krzyczę - Nie podchodźcie do mnie bliżej niż na 3 metry bo będę strzelał, nawet nie próbujcie - Wiedzieli, że strzelam dobrze. Zawirowało mi w głowie - Co robić? Za co? Dlaczego? -

Gdzie iść?... Gdzie uciekać? - I nagle myśl...

- Ruszyłem do komendanta - do tego najmądrzejszego. Wpakowałem się do domu z granatem w jednej, a pistoletem w drugiej ręce. - Co się stało zapytał - pobladły?

- Jak to co się stało! - Mój kolega nie żyje!

- Co tu się dzieje? - Czy wy myślicie, że ja się dam zabić jak pies! -Zażądałem widzenia z Pacakiem - Kuźmirskim - Nie chciał gadać. „Najpierw oddasz broń, a potem rozmawiamy” - powiedział - nie odparłem. Stałem w kącie pokoju i ani rusz. Żądam widzenia z Pacakiem - Kuźmirskim - powtarzałem w kółko - żądam widzenia z pułkownikiem. Wieczorem przyjechał Pacak - Kuźmirski ze Stryja i od razu żądał oddania broni. - Nie zgodziłem się, na to ale dałem słowo, że pierwszy po nią nie sięgnę. Poprosiłem o rozmowę w cztery oczy. Kuźmirski trochę się wahał ale w końcu zgodził się. Gdy zostaliśmy sami zacząłem: - „Panie Pułkowniku tyle broni zdobyliśmy z kolegą? - Czy ja się wam nie przydam, ze znajomością niemieckiego - Jakie zarzuty, o co chodzi - cztery razy obrabowaliśmy Niemców” - gdy się wyżaliłem mówiąc, że mogę zginąć w akcji jak żołnierz, jak Polak... nie tak głupio... za co., i po co?.

- Widziałem na twarzy Kuźmirskiego zdumienie - gdy skończyłem - poprosił Komendanta. Kilka pytań o zdobytą broń i wyjaśnienie. Jak mogliście tę broń zaewidencjonować jako zakupioną? - Komendant coś tłumaczył... ale nie kłamał przyznał, iż zdobyliśmy broń i dużą ilość amunicji jednak i tak jesteśmy elementem z wermachtu, więc niepewnym. Wypadało by jeszcze dodać, iż Gentelman został zabity jak mówił Pan Piotr w sposób okropny. Kilku partyzantów stojących przy studni zawołało go aby podszedł i zobaczył co tam wpadło, gdy się nachylił dostał śmiertelny strzał w głowę, a później jeszcze kilka kul gdy leżał.

W konsekwencji tych wydarzeń anulowano mi karę śmierci, a komendanta ukarano. Przeniesiono mnie też do Kochawiny, do klasztoru z zadaniem pomocy i ochrony

Ojców Jezuitów (kochawiński klasztor posiadał cudami słynący na całą okolicę obraz Matki Boskiej kochawińskiej). W tym okresie ludzie często chodzili głodni i nieraz nawet napełnienie brzucha stanowiło problem. W Kochawinie pod tym względem było bardzo dobrze. Ojczulkowie jedli obficie, a resztki z klasztornej stołu zjadałem ja. I nie wstydę się dziś do tego przyznać. Spasłem się tam okropnie. Klasztor posiadał gospodarstwo rolne, a ja nadzorowałem niektóre roboty i pomagałem przy różnych pracach. Kilkakrotnie zauważyłem kradzieże i ujawniłem je, za co zdobyłem sobie uznanie samego Przeora. Gdy raz poskarżył mi się, że ginie bardzo dużo tytoniu - przyłapałem na kradzieży kościelnego. Przeor zaczął mi ufać. Byłem tam świadkiem niezwykłego wydarzenia. Niemcy wpadli kiedyś do klasztoru w poszukiwaniu broni. W stodole była ona złożona na klepisku w jednym miejscu i przykryta snopkami słomy. Przeszukiwano wszystkie budynki, a do stodoły weszło 3 Niemców jeden w prawo drugi w lewo, a trzeci obejrzał jedną kupkę słomy, drugą i podszedł do tej trzeciej gdzie była ukryta broń - podniósł snopek... rzucił go... i krzyknął po niemiecku: - „Wychodzimy tu nic nie ma”. Stałem od niego kilka metrów i co tu dużo mówić byłem na wpół żywy... Niemcy wyszli ze Stodoły i wkrótce odjechali. Gdy poszedłem do przełożonego klasztoru i opowiedziałem mu, całe zdarzenie mówiąc na końcu, że to chyba cud. - Ten odparł spokojnie nawet bez specjalnego zdziwienia: „Widzisz synu są rzeczy na świecie całkowicie od nas niezależne” i poszedł jakby nigdy nic do swoich zajęć. Wkrótce po tym zdarzeniu doszły do nas wieści, że Ukraińcy szykują się do ataku na klasztor. Armia Krajowa знаła dzień, a raczej noc w której uderzą. Ściągnięto pod klasztor 1200 ludzi z okolicznych baz polskich, przychodzili grupami i zajmowali pozycje do obrony wokół klasztoru w laskach i zagajnikach. - byli też partyzanci z Łukowca. Szykowała się wielka bitwa i to my stawialiśmy warunki.

Czekaliśmy na nich? — Trudno dziś powiedzieć jak Banderowcy uzyskali informacje o koncentracji oddziałów AK - nie uderzyli i już nigdy nie zaatakowali klasztoru. Bandy stawały się jednak coraz bardziej groźne. Płonęły wsie polskie. Mnie przerzucono do Bazy „Topór” czyli Łukowca . Był 1943 rok.

Na Łukowcu:

Był „Piorun” najlepszym dowódcą i szła za nim sława człowieka desperata. Twardego dla swoich i bezwzględne dla banderowców. Pan Piotr mówi: „ Już gdy przeszedłem pierwszy raz placówki na Łukowcu miałem uwagi”. Pomimo iż i na Łukowcu przez jakiś czas mu nie ufano ze względu na to iż służył w niemieckiej armii. Bardzo szybko awansował na stopni Zastępcy Komendanta Bazy obejmując dowództwo Oddziału osłonowego. Oddział składał się z ludzi zgranych i odważnych. Mogłem, mówi „Piorun”, od wielu z nich wymagać sporo. Wiedziałem, że się nie będą wahać. Czy baliśmy się? - Tylko jakiś chory człowiek nie odczuwa lęku. Zamyśla się - Jasia Stadnika będę bronił do końca życia, to świetny żołnierz. „ Pewnie mówi, że byli i tacy, dla których zabić banderowca to była przyjemność, bo ludzie byli po przejściach. Nieraz przyjeżdżały na Łukowiec rodziny niekompletne czy ludzie, którzy mieli wymordowanych najbliższych. Pałali czasem chęcią zemsty czy rewanzu. Na Wandolinie, był to teren z którego Ukraińcy atakowali Łukowiec. -Raz, gdy patrolowaliśmy okolicę, tknęło mnie coś, aby zajrzeć jeszcze do stodoły. Była tam taka duża stodoła bez dachu. Podeszliśmy do niej i słyszymy krzyki. -Każę otwierać wrota. Moim oczom ukazuje się widok zadziwiający. Mężczyźni i kobiety czwórkami biegają dookoła stodoły po jej wewnętrznej stronie - mężczyźni porozbierani do pasa są pobici. Widzę dużo ludzi starych, a w środku i przy drzwiach nasi ludzie - głównie uciekinierzy z Dołchy (tu pada nazwisko przywódców). Co

miałem zrobić, wygoniłem wszystkich, a przerażonym Ukraińcom powiedziałem: - Przyszedłem was uratować. Ludzie nie bójcie się!- Jak to się wszystko na mnie rzuciło... Płaszcz miałem długi, granatowy, tam nie było miejsca, gdzie bym nie był pocałowany i po rękach, po' butach... Stary Ukraińiec powiedział mi: „Pan będzie żył długo bo pan nam życie darował” - Piorun się wzrusza. Wiesz było tak, że gdy trafiliśmy na jakieś oddziały banderowców, które za blisko Łukowca się zapuszczały to dla nich nie było ratunku. Banderowców ludzie znali nawet nieraz po nazwiskach. Nasza polityka była taka, że akcje przeciw Niemcom prowadziliśmy w odległości minimum 15 km od Łukowca, aby wsi nie narażać na jakiegokolwiek podejrzenia. Nigdy, przenigdy żadnej polskiej rodzinie nie odmówiliśmy zakwaterowania. Tu znów się zamyśla... Jest na pewno kilka rodzin, które mogą mieć do mnie pretensje. Ale to była wojna, gra o życie tysięcy. Jak przyszedł rozkaz ze Lwowa czy Stryja, że człowiek, który jest w bazie grabił czy zabił i ma być rozstrzelany, to czy to się komu podobało czy nie, wyrok był wykonywany. Czasem mieli oni szansę uciec albo im się zdawało, że są niewinni i kończyło się to odczytaniem wyroku i rozstrzelaniem. Żołnierze i chłopci też byli karani za uchylanie się od wartowania, za pijaństwo na placówkach za rabunki. Gdy kiedyś Polak wezwał mnie i kazał wyjaśnić sprawę kilku rabunków w ukraińskich wioskach - próbowałem się wykręcić -tym bardziej, iż sam kilka razy pozwoliłem partyzantom zabrać ukraińskie krowy, w sytuacji gdy nie było co jeść. Jednak nie mogliśmy dopuścić do całkowitego rozprężenia. Jeden oficer i kilku podchorążych ze Lwowa zostało aresztowanych. Oni uważali, że wszystko jest w porządku. Ukraińcy przecież nie takie rzeczy robią. Dostali po 25 na tyłek, a bił człowiek który miał naprawdę ciężką rękę - Masek -Marian Burdzy syn Władysława i po takich 25 uderzeniach wyciorem - chłop nie miał prawa przez dwa tygodnie usiąść. - To nie chodziło o karanie tylko, o zakaz samowoli i przykład dla innych., a to, że i ja

parę razy też kazałem wziąć Ukraińcom krowy, to tylko dziś mogę się uderzyć w piersi .. bo tak było. Choć w sytuacji wielu rodzin obrabowanych ze wszystkiego, a takich było na Łukowcu pełno takie poczynania nie były tylko zwykłym rabunkiem. Na pytanie o dwóch Rosjan

- oficera i podoficera Pan Piotr odpowiada „Dostaliśmy rozkaz ich zlikwidowania. To znaczy wyrok był za napady na domy i rabunki oraz wymuszanie od ludzi złota. No tego nie można było tolerować. Oni przecież mieli szansę przetrwania, ale jak zaczęli rozbój - był koniec. Zresztą te wszystkie wyroki były wydawane przez sąd wojskowy sześćoosobowy z księdzem Wanatowiczem w składzie. Oni też tam nie byli tacy skorzy do ferowania najwyższego wymiaru kary. W składzie sądu wojskowego byli ludzie mądrzy i roztropni i nie można im naprawdę zarzucić złej woli. Zapytałem „Pioruna” o jeszcze jedno zdarzenie, które słyszałem od mojego dziadka Karola Burdzego. - Miał dziadek w domu młodego Niemca dezertera. Bardzo go lubił. Takich dezertersów było kilku na Łukowcu. Jeden z nich popił sobie i zaczął wyzywać Polaków od najgorszych i chwalić Adolfa Hitlera - krótka decyzja

- wszyscy niemieccy dezserterzy do likwidacji - za bardzo niepewny element. Partyzanci poszli pozbierali ich i pod przysłowiowy mur. - W domu nie było ani dziadka ani ojca - przyszli zabrali Niemca i za parę minut nie żył. - Dziadek nie mógł przeżłować tego chłopaka. I mówił - gdybym był w domu... nie dałbym go - Czy była taka szansa aby Dziadek uratował tego dezertersa? - Pan Piotr odpowiedział: „Tak, twój dziadek miał spory autorytet i mógł go obronić”. -, a po namyśle: „Mama twoja, także w jednym takim przypadku bardzo protestowała, nawet płakała

- ale chłopak - Polak - zginął”. Dziś wydaje mi się, że może gdyby to było jakoś inaczej zrobione - ten cały sprzeciw - to on mógłby żyć. No, ale miał wyrok i wyrok został wykonany. Pan Edward Sabat zapytał o dwóch SS-manów dezertersów z niemieckiej armii, którzy jedną noc przespali u Sabatów, a potem już ich nie było. - Zostali zastrzeleni

- odparł pan Piotr. - Wspominali tragedię w górach Karpatach na przełomie 1944 i 1945 r., już jak przyszli drugi raz Rosjanie. - Cały oddział, który wyruszył z Łukowca został wybity poza jednym partyzantem o pseudonimie „Niunio”. Chłopak wleciał w jakąś dziurę pełną śniegu. Idący nawet nie zauważyli jego braku, nim się wygramolił minęło kilkanaście minut. Oddział uszedł kilkaset metrów i wpadł w zasadzkę zastawioną przez Rosjan. Wszyscy zginęli oprócz niego.

- Nie rozmawialiśmy o akcjach odwetowych przeciw banderowcom o konwojowaniu ludzi z innych miejscowości na Łukowiec, o rajdzie do Bitkowa leżącego 140 km od Łukowca, który skończył się tragicznie dla oddziału. Może to i dobrze, że jeszcze nie wszystko jest wyjaśnione. Pan Piotr mówi, iż największym zagrożeniem dla Łukowca była koncentracja Ukraińców w lasach pod koniec wojny. Wtedy było ich tam kilkanaście tysięcy, ciągnęli z Wołynia. Mieli jednak już Rosjan na głowi i nas zostawili w spokoju. Na Łukowcu, mówi pan Piotr, wykonywałem robotę i tę białą i tę czarną, a komendant Edward Polak o wszystkim wie działa. Zadania otrzymywałem od niego albo przynajmniej gdy pomysły były moje Polak je akceptował. On mi ufał i ja jemu również.

Koń na którym jeździłem należał do Furtaka, był wspaniały gdy raz wpakował się w bagna koło Krycińskich, a utopiła się tam krowa i cielak myślałem, że to już koniec, na dodatek jak zaczął się zapadać poderwałem go i było jeszcze gorzej. Wtedy nagle puściłem lejce, licząc na jego instynkt i to konisko zaczęło cofać się do tyłu i wygramolił się tyłem z tego bagna, a ja razem z nim. Był to koń wojskowy - jak przyszli Rosjanie zrobili przegląd koni na wsi i zabrali go do armii jako jednego z pierwszych.

Po Łukowcu

Piorun z łukowianami nie wyjechał - Było to nazbyt niebezpieczne. Rosjanie szukali go zawzięcie. Mówiono o nim, że

dwukrotnie przekroczył granicę polsko-rosyjską. Dziś coś niecoś wiemy o jego perypetiach powojennych. Wrócił do Kochawiny. Otrzymał zadanie przewiezienia wrót kochańskich do Polski. I wywiązał się z tej pracy bardzo solidnie. Przez jakiś czas przebywał w domu swoich rodziców koło Lublińca. Jego sława dotarła i do miejsca zamieszkania. Kilkakrotnie przyjeżdżała policja i stawiała sprawę, jak mówił: „na głowie” - „Był napad my uważamy, że to ty - udowodnij, że to nie ty”. W końcu z żoną Zofią osiedlił się w Opolu. Pan Piotr ma dziś trójkę dzieci oraz sześcioro wnucząt. Obecnie ma dwa miejsca zamieszkania w Berlinie i w Opolu. Jest człowiekiem pogodnym, ciekawym, lubi rozmowy, ceni ludzi, którzy się kształcą. Ma praktyczne poglądy na rzeczywistość. Pragnie Polski dostatniej i otwartej na Zachód i Wschód - Powtarza „Nie ma odwrotu od pojednania i godzenia się zarówno z Ukraińcami jak i Niemcami. Problemy z UB miał, przyjął zasadę mówienia całej prawdy i jak mówi może to go uratowało. Urząd Bezpieczeństwa odnalazł nawet Pana Kamińskiego vel. Caldirado. Znowu Kamiński mu pomógł. Wystawiając „Piorunowi” bardzo dobrą opinię i poświadczając, że wszystko co powiedział jest prawdą. Gdy kiedyś przesłuchujący go oficer UB zapytał dlaczego napisał, iż samochodem szefa gestapo stryjskiego wywieziono go ze Stryja - Odpowiedział: „Nie chcę kłamać, bo jak by to w jakimś momencie wyszło na wierzch, to bym się już z tego nie wypłatał, a tak trzymam się tylko prawdy”. Miałem „Pioruna” zapytać o akcje zbrojne o zadania jakie miał oddział „Tancerki” - Nie zdążyłem, pan Piotr nie w każdym momencie dobrze się czuł i w sumie mam pewne braki w relacji. Na dodatek jeszcze pan Piotr obiecał mi podrzucić dokumenty dotyczące Łukowca, jak będzie z Opola wracać do Berlina. Na dokumenty te z utęsknieniem czekałem. Otrzymałem jednak tylko około czterdziestu zdjęć, głównie fotografii łukowian - partyzantów i jeden tylko dokument. - Fotografie partyzantów

zamieszczam w „Zeszytach”. Gdy zapytałem pana Piotra o tych 500 chłopców z okolic Lublińca zabranych z nim na przeszkolenie do Heidelbergu, ilu z nich wróciło do domu - odparł - mniej więcej połowa.

Oddział „Tancerki” majora Mieczysława Skowrona bazował na Łukowcu. Był w strukturze samoobrony ale działał poza nią. Gdzie wychodzili jego żołnierze nikt, nie wiedział (prawdopodobnie akcje dywersyjne). Pan Edward Sabat tak ich scharakteryzował. „Wychodzili 10 do 15 ludzi. Nocami szli przez lasy sobie tylko znanymi drogami, w dzień gdzieś zapadali. Wysocy wysportowani, dobrani i fizycznie przygotowani do wielokilometrowych marszów chłopcy na schwał. Byli na podobieństwo dzisiejszych komandosów Nie było ich po kilka, a nawet po kilkanaście dni i jak wracali umorusani, wycieńczeni to zawsze odsypiali. Pochodzili nie tylko z zewnątrz ze Lwowa czy Stryja ale także i z Łukowca między innymi w oddziale tym służyli; **Marian Chmielowiec i Ludwik Martka.**

Co jeszcze powinniśmy wiedzieć?

Na pewno powinniśmy więcej wiedzieć o akcjach zbrojnych partyzantki łukowieckiej. Było kilka wypadów prewencyjnych, konwojowano ludność z niektórych wiosek do Łukowca. Pan Kureń dwukrotnie już opowiadał mi o akcji partyzantów w okolicach Stanisławowa, gdzie w lasach była otoczona grupa Polaków. Pomoc nadeszła z Łukowca w nocy, przebito się do tej grupy i jak mówi pan Kureń o umówionej godzinie dziurą, którą zrobili partyzanci w okrażeniu wydostało się około 40 ludzi - kto się nie wydostał to już tam został na zawsze”. - Pan Kureń twierdzi, że nawet wozy tam podjechały z Łukowca aby zabrać rannych.

Od Pana Edwarda Stępnia słyszałem, że była taka msza św. na której ludność zaprzysięgła pomagać Armii Krajowej, partyzantom i uciekinierom Polakom. Niesamowita też była rola sołtysów. Kiedyś słyszałem opowiadanie pana Kaliciaka Leszka (rodzina pochodząca z lwowskiego z

Rychlic) po wojnie w jakimś dolnośląskim miasteczku po imprezie rodzinnej spotkali sołtysa swojej wsi ze Wschodu - otoczyli go kołem i mówią „Ty sukinsynu naszą siostrę wysłałeś do Niemiec” - ten popatrzył na nich i mówi: „Ludzie to wy o to macie do mnie pretensje? -, a kogo miałem dać, jak był kontyngent 15 osób?. U waszego jednego sąsiada sam drób w domu, u drugiego tylko jeden dorosły syn u tego naprzeciwno już jedno dziecko było w Niemczech, a u tego znowu chłopak zginął. Ręce nam opadły - powiedział Pan Leszek on miał całkowitą rację. Zostawiliśmy go w spokoju bo argumenty były zrozumiałe”. - Tak też było i na Łukowcu obaj sołtysi **Jan Bal** i **Józef Cacał** cieszyli się dobrymi opiniami i obaj byli związani z Armią Krajową jako podoficerowie. Musieli reprezentować swoje wsie wobec władz okupacyjnych. Zbierać podatki nałożone na wieś przez okupantów. Wykonywać różne polecenia jak choćby kierowanie młodych ludzi do prac na rzecz okupanta czy w Baudinscie. Tak, że byli pomiędzy tym przysłowiowym młotem i kowadłem. Z jednego z dokumentów wynika, iż Piorun skończył szkolenie dla oficerów partyzanckich. Także na Łukowcu były szkolenia żołnierzy i ludności. Szkolili instruktorzy ze Lwowa i „Piorun” oraz Ludwik Kędziński. Pytanie brzmi: jaką formę miały te szkolenia? - Czy była to partyzancka szkoła podchorążych?

W zapiskach Edwarda Polaka jest adnotacja, że w okresie II wojny światowej śmierć poniosło około 50 łukowian. Jeżeli ktoś pamięta nazwiska i imiona tych ludzi, to proszę o przekazanie mi takich informacji. Interesuje mnie też liczba i nazwiska osób które walczyły na Zachodzie i Wschodzie w Armii Andersa i w I-szej i II-giej Armii Wojska Polskiego czy w Armii Czerwonej - nie ma przecież różnicy - wszystkie te armie walczyły z wrogiem, a nie każdy przecież mógł walczyć tam, gdzie by sobie tego życzył. Jeżeli ktoś jest w stanie napisać coś o Karolówce, Ludwikowce, Kozarach czy Dołsze, to także proszę o przekazanie mi wspomnień. Nawet informacje typu: Jestem

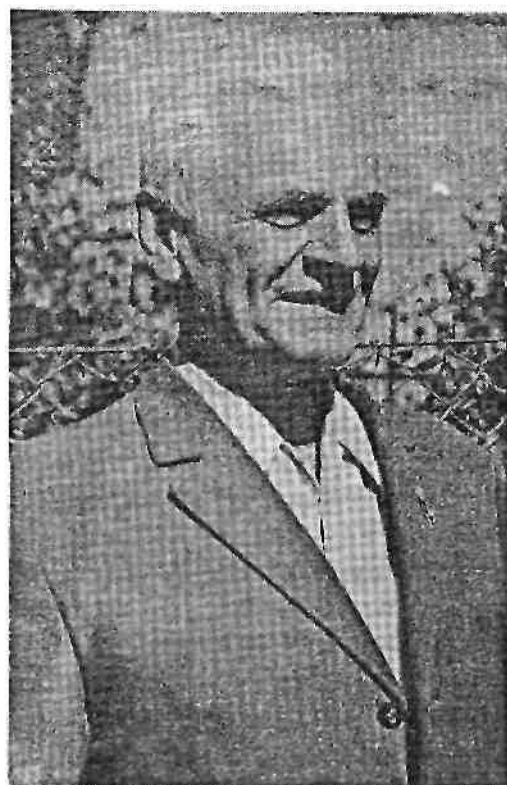
z Łukowca mieszkałem tam i tam, w czasie wojny przechowywaliśmy w naszym domu uciekinierów o nazwisku takim, a takim, będą dla mnie cenne. Lub informacja: Jestem z Dołchy na Łukowcu mieszkałem u tego i tego, było nas tam tyłu i tyłu . Pamiętam **to i to...** **Niestety, nic samo się nie robi**, jeżeli nie będę miał informacji od ludzi, to nie będę mógł napisać nic o niektórych rodzinach. Z zapisków jakie posiadam wynika również, że w pierwszym okresie samoobrony partyzanci byli zorganizowani w oddziały kosynierów gdyż broni było jak na przysłowiowe lekarstwo. Zdobywanie jej było w tej sytuacji niezwykle ważnym elementem samoobrony. Kto ją miał, czuł się pewnie. Liczyła się każda sztuka Kto ją zdobył, kupił czy ukradł zyskiwał uznanie otoczenia.

Sól, którą Ukraińcy przewożili przez Łukowice - była wyladowywana z barki wiozącego ją Dniestrem. Z jakichś powodów Ukraińcy musieli ją wyladowywać właśnie w okolicach Łukowca i przewozić przez polskie wsie (mogło to wynikać z budowy brzegu rzeki, czy jakiejś przygotowanego tam przed wojną pomostu czy podestu. W każdym bądź razie powodowało to kontrole ładunków przez polską partyzantkę. Na pytanie, jak oficerowie niemieccy odnosili się do chłopców z okolic Lublińca, przygotowywujących się do służby w niemieckiej armii Pan Piotr odpowiedział: „- Bardzo dobrze, gdy jeden z oficerów raz coś powiedział przykrego Polakowi, Komendant zrugął go niesamowicie i był już na cenzurowanym. Oni po prostu chcieli abyśmy służyli Niemcom nie z musu, lecz z przekonania. Tereny gdzie mieszkaliśmy zostały włączone do Rzeszy i automatycznie staliśmy się obywatelami niemieckimi ze wszystkimi prawami i obowiązkami. Z tego też względu i służba wojskowa nas obowiązywała."

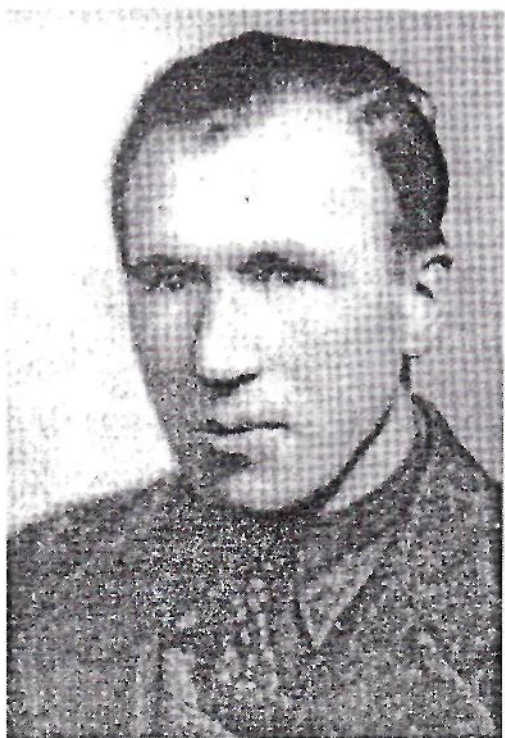
Fotografie partyzantów i uczestników samoobrony



Edward Polak. - Komendant Łukowca.



Kazimierz Sikora - Dowódca Batalionu.



Michał Wilczewski - Cichociemny



Piotr Król - Za-ca Komendanta



Hanna Godek



Julia Wilk



Mana Stępień



Zofia Król - żona Pioruna



Józefa Maciąg



Wojciech Ślepokura



Józef Misa



Ludwik Kędzierski



Jan Starkiewicz



Jan Kuchta



Henryk Drozd



Jan Stadnik



Józef Krawiec



Andrzej Baran



Marian Czech z Bakocayna



Walenty Kobylarz



Adam Kobylarz



Józef Drożdż



Stanisław Stępień



Jan Maciąg



Jan Bal



Matej Marećak (Slovak)



Jakub Majcherz Berestawów



ks. Józef Wanatowicz



Władysław Skowron



Władysław Kopala



Stanisław Sabat



Karol Szot



Ludwik Skrybant



Ludwik Martka



Marian Burdzy (syn Karola)



Stefania Martka



Marian Chmielowiec



Józef Majdański



Jadwiga Burdzy



Piotr Król, Zdzisław Pacak-Kuźmirski i Edward Polak.



Zdzisław Pacak-Kuźmirski, Maria Polak i Edward Polak.

Zdjęcia z Łukowca - okres międzywojenny



Mleczarnia w Łukowcu.



Kółko rolnicze w Łukowcu Żurowskim.



Bednarz Wawrzyniec, Zofia Berezowska, Antoni Berezowski.



Gienia Pudlak i Gienia Szot z koleżankami.



Jan Bednarz z synem Zygmuntem.



Rodzina Bednarzów (zdjęcie powojenne).



Kazimierz Partyka, Edward Baran, Władysław Dudek.



Wiktoria Kurtysz i Edward Marut.



Dziewczęta z Łukowca - lata dwudzieste.



Anna Burdzy z dziećmi (u góry syn z I-go małżeństwa - Szczepan Żak), syn Kazimierz z prawej strony.



Rodziny Januszów i Marutów.



Rodzina Wosiów z Buenos Aires (Argentyna) - rok emigracji 1938.



Zdjęcie z kursu kroju i szycia na Łukowcu Żurawskim.



Młodzież z Łukowca.



1944r. - zdjęcie ze spotkania uczniów obu Łukowców po zakończeniu roku szkolnego.



Zdjęcie rodzinne Martków.



Wesele u Cyganów w Osieku (zdjęcie powojenne).



Marian Chmielowiec, Henryk Piotrowski,
Ludwik Martka.



Młodzież z Łukowca.



Młodzież brunowska (zdjęcie powojenne) od lewej: Juliusz Kurecki, Kazimierz Turbak, Władysław Paczkowski, Stanisław Wal, Franciszek Wiśniewski. Józef Lasota, Antoni Filip, Adam Kłodnicki, Jan Kędzierski



Edward Polak „August”
i Piotr Król „Piorun”.



Marian Chmielowiec - po łowach.



Wspólne zdjęcie po łowach (Marian Chmielowiec z synem Andrzejem i kolegami).



T-34 Dźwig czołgowy - własność Ludwika Babuła.



Skonstruowana przez Ludwika Babulę motolotnia gotowa do startu.

Wspomnienie o Władysławie Kopale

Zdjęcie z albumu Antoniego Faszynkiedra



Pochówek Władysława Kopala we Włoszech w miejscowości Faenza nad grobem stoi Antoni Faszynkieder z kolegą.

Przez dłuższy czas ustalałem czy Władysław Kopala był łukowianinem, gdyż na Łukowcu był jeszcze inny Władysław Kopala - aktywny uczestnik samoobrony. Dopiero potwierdzająca informacja przekazana mi przez pana Jana Kuchtę, że jeden Władysław Kopala (jego wujek) był wywieziony na Sybir i zginął w okolicach Monte Casino utwierdziła mnie w przekonaniu że na zdjęciu jest przedstawiony pochówek łukowianina. Pan Kuchta poinformował mnie, że będąc we Włoszech z rodziną poszukiwali bezskutecznie na cmentarzu Monte Casino grobu wujka. Dziś już rodzina wie, że ich wuj Władysław Kopala pochowany jest we Włoszech w mieście Faenza. Zginął trafiony pociskiem z niemieckiego działka. Mój Dziadek uważał go za jednego ze swoich najlepszych przyjaciół.

Łukowianie walczący na Zachodzie (w Armii gen. Andersa)

Andrzej Dul

Wiktor Chmura

Władysław Kopala

Stanisław Starkiewicz

Antoni Faszynkieder

Stanisław Burdzy

Antoni Cebula

..... Rogowski

..... Baran

100 lecie Kasy Stefczyka na Łukowcu mija w lutym 2004 r.

Komentarz do artykułu i przemówienia z okazji 30-lecia Kasy Stefczyka.

W 1904 roku powstała na Łukowcu Kasa Stefczyka coś w rodzaju Banku Spółdzielczego Rolniczego. Z okazji 30 lecia Kasy w 1934 rok odbyły się w Łukowcu bardzo poważne uroczystości. Ukazał się też okolicznościowy artykuł w polskiej prasie. Zostało wygłoszone krótkie przemówienie o historii Kasy, a przejazd kawalerii poprzedził wspólną zabawę. To przemówienie i ten artykuł dziś mogę państwu zaprezentować. Zawierają one sporo wiadomości o Łukowcu i ludziach zakładających Kasę. Pierwsza ciekawa informacja to ta, że sam dr Franciszek Stefczyk był dwa razy na Łukowcu aby zachęcić naszych dziadków do założenia tej instytucji. Druga, to odkrycie, że z chwilą powstania Kasy w 1904 rok - nie było jeszcze Łukowca Żurowskiego - Nowego. Ale już w 1909 roku zarząd kasy przyjął osadników Łukowca Żurowskiego do spółki. Mamy dokładny okres powstania Łukowca Żurowskiego lata. 1905-1909. Informacja, że mieszkańcy Łukowca Żurowskiego zdecydowali się na przystąpienie do Kasy dopiero w 1911 roku świadczy o pewnej nieufności nowo założonej wsi do tej instytucji.

Artykuł wymienia tylko trzy nazwiska **dr Franciszka Stefczyka** - twórcę systemu kas **Emiliana Seretnego** - proboszcza i pierwszego Przewodniczącego kasy oraz **Wojciecha Dziubaka** - wieloletniego przełożonego zarządu kasy noszącej pierwotnie nazwę „Spółki Oszczędności i Pożyczek”. W przemówieniu wymienia się 9 nazwisk:

1. **Emil Seretny** - pierwszy przewodniczący spółki (proboszcz)
2. **Michał Jaworowski** -protokolant -Nadleśniczy lasów Wiszniowskich.
3. **Adam Ko tulski** - przełożony zarządu.
4. **Michał Gancarz** - zastępca przełożonego zarządu
5. **Wawrzyniec Kosior** - członek zarządu
6. **Antoni Szot** - członek zarządu
7. **Wojciech Baran** - członek zarządu
8. **Stanisław Starkiewicz** - członek zarządu
9. **Józef Drozd** - członek zarządu

Zwraca uwagę bardzo duża ilość członków na 31.12.1913 roku - 179 osób. Udziały 1737 koron i wkłady: 4980 koron i 21 halerzy, Pożyczki udzielone członkom 18 508 koron i 5 halerzy, fundusz rezerwowy 2622 korony 57 halerzy. Niektóre słowa z przemówienia pachną archaizmami np.: „zapodaję” co dziś oznacza „podaję” lub „przedstawiam” - Także nieco staroświecko brzmi słowo „przełożony zarządu” co dziś chyba należało by przetłumaczyć na „przewodniczący zarządu” lub „prezes zarządu”. W każdym bądź razie z artykułu dowiadujemy się że Łukowiec to mazurska wieś w centrum Galicji - „mazurski tu obyczaj temperament i sposób życia”. Zadziwia też fakt, że budynek Kasy Stefczyka-bardzo duży -zbudowano w przeciągu 5 miesięcy. Zważywszy na fakt, że i wieś powstała stosunkowo szybko, mamy chyba do czynienia z zawrotnym "łowieckim" tempem. Resztę każdy może sobie doczytać, gdyż kopia w Zeszycie jest nieźle widoczna. - Skąd wzięło się to przemówienie u Ojca - nie jest to aż takie ważne - istotne, że je mamy. I jeszcze może jedna uwaga. Z dokumentu tego wynika iż Kasa Stefczyka obejmowała oprócz Łukowców także wieś Nowoszyny i jakąś czwartą miejscowość.

Przemówienie z okazji 30-lecia Kasy Stefczyka w Łukowcu.

Opatstwin : dwiatrosi Kacy Kacy
• Luchowen mierzniowski

W roku 1903. 20 grudnia powstała w ~~tem~~ gminie
pierwsza Spółka Osobowości i porysok w Lubkowie
~~W roku~~ w lutym 1904 r. została zarejestrowana
i w prowadzonej w życie.

[illegible]

Tak obżyło się pierwsze zebranie podługem awang
Spółki Oszczędności: pozycje a maszynka pierwszych
cetonków wypodaje książka cetonków wzięty
z Lutkowsa miedziowskiego.

Pierwsze Spółki Osce Amicki i przyrządk formuje
się tylko z dwóch gmin tj. Lukowca niemieckiego
i Nowosyn polskiego Lukowca niemieckiego
jeszcze nie było. Natomiast 16 maja 1909 r.
wobec w tym czasie Lukowca Spółki Osce i przyrządk
hostami brachy się przyjeżdżać osad. które

pozwijającemu Łukowi Łukowskiemu do tej pory spłacił
jednak osadnicy ci propozycje te odnowili i
do Łęchockich Łęch i Łęchów nie przystąpił.

Dotyczący kręci się o przeobrażeniu żydowski
mi lichwiarskim procentami, przystępują
na Włocławku Żebrowie w dniu 4 czerwca 1911 r.
w liczbie 35 do tejże spółki.

Spółka ta już w tym czasie smadłała gospodarce rolniczej i sacyim się roznija. Tak se do dnia 31 grudnia 1913 rti liczy 129 członków a zamknienie rachunkowe w tym roku wykazuje następujące cyfry:

Udziały 1.73 zł koron Wkładach own. 4.980 kor 21.
 Oryentał wziętych celunkom 18.508 kor 05 hal.
 fundusz rezerwow 2.622 kor 5 zł hal. i tu nas
 zastaje w takim samym punkcie rezerwy i kon.
 brach widoków na przyszłość wojna i to
 wa która nieważność i to ma być
 szych pionierów tej i to.

Próbka powyższe wyprawki istniała przy
przebiegu wojny aby skuteczności jej nie
widzieć nie można było obrać przykładu
wzrostu członków a także ogólnej inflacji
dopiero w roku 1932 r. 10 grudnia nastąpiła
reorganizacja tej Proby. W tym czasie Amie przy
władze Delegata Włoskiego i tronatu odbyło się
zebranie przy udziale 17 członków w tym 9 mł.
a 8 mł. nie członków na którym dokonano wy-
boru Zarządu i Rady Nadzorczej wskazał które
weszli do Zarządu i Adam Kotulski jako pre-
sary. i p. Michał Gencare jako zastępca.

Wawrzyniec Hościów, Antoni Prot, Wojciech Baran.
Stanisław Starkiewicz, Józef Drobek, Stanisław
Gerański.

Obchód był uroczysty, a przytem wesóły. Bardzo liczni uczestnicy brali w nim udział czynnie, co nadawało uroczystości prawdziwie społecznego charakteru, a przytem, odznaczała się ona cechą demokratyczną, gdyż wszystko było dla wszystkich, a nie było żadnej specjalnej treści czy przejęcia dla wybranej grupy ludzi. Z tego powodu koszt obchodu był minimalny, a przyjemność i korzyść duchowa wielka. — K. B.



**SILY ZBROJNE
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

mianował

nie będącego w czynnej służbie wojskowej

kpt. nie podl. ob. sił wojsk. **KRÓL PIOTR** s. Jana r 1922

na stopień

PODPULKOWNIKA.

z dniem 1) czerwca 2001r.



WOJSKOWY KOMENDANT OZUPLENIECH
Opole

ppłk dpl. Marek LASKOWSKI

Opole, dnia 31.07.2001r.
(data)

Zdzisław Pasiek-Kudziński
Kraków, pl. Smoluchowski, 6 m.7

Opole, dnia 12 grudnia 1971 r.

18

OSTWIADCZENIE

Oświadczam, że znany mi osobisto ob. Król Piotr ur. 3 marca 1922 r. w Solarni zam. w Opolu przy ul. Krakowskiej 4 działał w czasie okupacji niemieckiej w latach 1943 - 1944 w Karpackiej Dywizji Partyzanckiej.

Za wybitne zdolności dowódcze i naczyniczej osiągnięcia bojowe w walce z Niemcami i UFA oraz za zdobycie na nieporach żurej ilości broni i wyposażenia bojowego został na mój wniosek w maju 1944 roku mianowany rozkazem komendanta Obszaru Łowickiego AK Generała Filipkowskiego do stopnia Kapłana.

I tym czasie ob. Król Piotr pełnił funkcję z-cy dowódcy 48 pułku piechoty partyzanckiej, że wymienionego pułku-możność powstania osobiste w ramach szkolenia dowódców partyzanckich i poszup-kradnie obserwacja w działalności bojowej.

Autografem p. p. p. z Wrocławia

pułk. B. D. 1971

Zdzisław Pasiek-Kudziński
były Komendant Inspektoratu
stryjskiego AK
Były Dowódca Karpackiej Dywizji
Partyzanckiej AK

M. Pasiek-Kudziński



Prof. Dr. Władysław URBAN
b. komendant Okręgu Stanisławowskiego o
AK

Brwinów dnia 10. marca 1969 r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Niniejszym zaświadczam, że ob. Król Piotr (pseudo TROJAN) był zastępcą dowódcą 48 pp AK ppłuk AK Edwarda POLAKA (pseudo August)! Na stanowisko to został przeznaczone wyznaczony gdyż wykazał wybitne wartości jako patriota Polak, przeszkolony żołnierz, instruktor i wybitny dowódca partyzancki. Na mój wniosek został odznaczony orderem Virtuti Militari (odznaczenie zweryfikowano po wojnie)

Zaświadczenie niniejsze wydaje się celem przedstawienia do weryfikacji działalności okupacyjnej w ZBoWiD w Opolu.

Związek Sojowników
o Wolność i Demokrację
Zarząd K. G. L.

Brwinów
PRZEDSIĘSIĘWZAJĄCY

(-) Stanisław Gernowski

Prof. Dr. Wł. Urban

List z Chomiąży:

Tadeusz Malce
Chomiąży 67
55-320 141124 CE

Szanowny
Panie Burcho

Przepraszam, otrzymałem 1 numer „Zeszytów Dukoluckich”
pocztą, jednym totem. Czytając wyobraziłem mi się
że oglądam barany film z przeł. 60 lat. Wspomnienie
o Dukolu przypomniło mi i odnowiło też bohra
znane nazwiska, miejscowości oraz sytuacje które z
opowieści Kochanów. Jazac pamiętam. Bohra wemysła
mnie wzmianka o śmierci J. Rejmana, był mój
siostrzy mój ojciec tj. Marek Malce. Wspomnienie
o Dukolu Pani Józefy Sule wzmianki i dokładnie
opisuje życie Dukoluckich w tych czasach i są potwornie
tępo co znane mi było z opowiadań Kochanów.
Jest z Kochanami Wiktor i Franciszek Malce.
Przyjechałszy z samymi Dukoluckimi w listopadzie
1945 roku do wsi Lipnica tuż koło Świdry Słaskiej.
Z tego co pamiętam to byłoby Dukoluckie gospodarstwo
z białym zieleni. My mieszkaliśmy na uboczu
od wioski koło stawu blisko Żuka. Przyjechaliśmy
razem z dwiema Kochanami Cyganów, Mikulajewicz,
Babiarz, Dulbów, Kocioł, Siostrzy i wielu innych.
Odcenił ktoś z nich żyje, moi Kochanie tam
odszedli. Z pamiętek z tamtych lat pozostały jakiejś
potwierdzenie ale nie potrafię ich opisać owa literatura
„Kochanki” mój ojciec. Bohra bym chciał zobaczyć
lub wypozyczyć dla nie rozpamiętane Zeszyty

aby przypomnieć i poznać historię Dukolucką
swoją i o okresie wojny, to te były okropne czasy
miałem wtedy 5 lat i wiele strasznych opowiadań
mam jeszcze w pamięci. Pamiętam dokładnie chociażby
są o schronie, który ojciec wykopał w skarpie
nad stawem, a ciuchę pochował się w kucyku na dnie.

W komentarzu do pamiętnika wspomina się
okolicę Puna. E. Polaka o Dukolu, gdzie można
by je zobaczyć lub wypozyczyć.

Proszę o odpowiedź
padyłam Kochanów.

T. Malce

Przepraszam, nie mogę odpowiedzieć.

Edward SABAT

Lubin dnia 28 listopada 2003r.

O Ś W I A D C Z E N I E

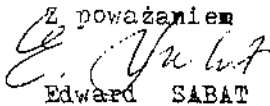
Autor "Zeszytów Łukowieckich" Pan Franciszek BURDZY - jak sam o tym pisze - w wielu przypadkach materiałem źródłowym z których korzystał były m.in. moje informacje z wydarzeń w czasie okupacji na Łukowcu i pierwszych lat powojennych w Starym Dworze.

Oświadczam, że moje informacje ujęte w "Zeszytach" opierają się na wspomnieniach, ponieważ nie sporządzałem i nie posiadam żadnych zapisków, notatek lub pamiętnika.

Od tamtych lat i dni mija 60 lat a pamięć ludzka w wielu przypadkach jest zawodna, w wyniku czego część faktów uległa zapomnieniu, lub przedstawiona niedokładnie z pominięciem istotnych faktów i wydarzeń.

Od powyższym
W związku z ~~tego~~ zwracam się do czytelników -mieszkańców Łukowca i wszystkich innych osób, których zawierucha wojenna zmusiła do przetrwania na Łukowcu, aby te wszystkie niedociągnięcia niedoskonałości pamięci ludzkiej potraktować ze zrozumieniem.

Za błędne lub nieścisłe przedstawione przeze mnie fakty z góry przepraszam.

Z poważaniem

Edward SABAT

ZDJĘCIE - DOKUMENT



Mord na Wandolinie koło Łukowca. Zamordowani to: Stanisław Bednarz, Władysław Bednarz, Jan Groszek, Kazimierz Burdzy.

Życiorysy, ciekawostki, historyjki, opowiadanka.

Wspomnienie o Stefanii i Ludwiku Martkach

Autor Edward Sabat

Stefania i Ludwik Martkowie pochodzili z Łukowca Żurowskiego Rok urodzenia Ludwika 1920, a Stefanii 1922. Przed wojną oboje ukończyli szkołę powszechną. Ludwik pracował w przetwórnicy alabastru. Stefania z domu Sabat po ukończeniu kursu kroju i szycia zajmowała się krawiectwem, szyjąc na potrzeby własne i najbliższych. Po wybuchu II wojny światowej, za sprawą organizacji młodzieżowej „Wici” Pan Ludwik wraz z kilkoma chłopakami z Łukowca zdecydował się na wyjazd do pracy za Ural do Krasnojarskiego Kraju. Liczył na poprawę warunków życia dla siebie i rodziny oraz szybki zarobek. Rzeczywistość okazała się jednak mirażem. Zakwaterowanie w barakach, nędźnie wyposażonych w urządzenia sanitarne (wystrój wnętrza prymitywny). Wyżywienie nisko kaloryczne. Praca 8 godzin przy budowie osiedla mieszkaniowego. Mechanizacja to: łopata, kilof i taczka lub wózek na szynach popychany siłą ludzkich mięśni. W czasie wolnym od zajęć objazdowe kino wyświetlało propagandę stalinowską o świetlanej przyszłości. Na dodatek obowiązkowe prelekcje wygłaszane przez politycznych agitatorów dopełniały atmosferę, której nie można było po prostu znieść. W tych warunkach pan Ludwik zaczął powoli przekonywać się, że ta świetlana przyszłość, to nie dla niego i postanowił przy pierwszej okazji opuścić Kraj Krasnojarski i wrócić na Łukowiec, Co też udało mu się zrealizować. Po napadzie Niemców na Związek Radziecki bardzo szybko okazało się, że Polacy mają dwóch wrogów Niemców i Ukraińców. Ci ostatni za przyzwoleniem Niemców zaczęli dokonywać bestialskich

mordów na Polakach. Wobec tej sytuacji na Łukowcu powstała samoobrona, a Ludwik Martka został dowódcą placówki wartowniczej Nr.2 na tak zwany: „Kamieniu”. W krótkim czasie awansował do stopnia podporucznika. Cechowała go bardzo dobra współpraca z sąsiednimi placówkami Nr 1,3,7, a także z dowódcą oddziału konnego panem Wincentym Górakiem. Dobrze układała mu się współpraca z „Piorunem” - zastępcą komendanta bazy. Często też pełnił misję kurierską na trasach: Lwów, Stryj, Stanisławów. Brał udział w wyprawach organizowanych przez oddział majora „Tancerki” poza Łukowiec. Jego przyszła żona, Stefania Sabat, pełniła funkcję sanitariuszki w oddziale służby sanitarnej dowodzonej przez Marię Stępień. Jako najstarsza z rodzeństwa, oprócz pracy na rzecz rodziny, przygotowywała posiłki partyzantom, szyla i naprawiała odzież, uczestniczyła w szkoleniach dla podwyższenia kwalifikacji i wykonywała inne konspiracyjne obowiązki. Wielu niesfornych członków samoobrony zawdzięczało jej wstawiennictwu zmniejszenie kary chłosty, a nawet w jednym przypadku z siostrami Władysławą i Joanną obroniła dwóch chłopaków przed zastosowaniem najwyższej kary. Chłopcy ukradli broń partyzantom, a po wymierzeniu kary chłosty zamiast żałować postępków, zaczęli się awanturować. Jeden z dowódców wydał wyrok - rozstrzelania ich - kopali już sobie groby. Władysława, gdy dowiedziała się o tym co za chwilę miało nastąpić, poleciała z siostrami na miejsce zdarzenia, narobiły krzyku i po szarpaninie prośbach i protestach ludzi, którzy zbiegli się słysząc krzyki, dowódca zrezygnował z tej strasznej kary w stosunku do złodziejasków. Po przyjeździe na Ziemię Zachodnie Stanisława i Ludwik jako pierwsi z nowych osadników w Starym Dworze pobrali się i zamieszkali w domu pod nr 12. Pan Ludwik podjął pracę w Zakładach „Rokita” w Brzegu Dolnym. Po zadenuncjowaniu go przez jednego z mieszkańców Starego Dworu za udział w Armii Krajowej i posiadanie broni został

aresztowany. Przez wiele lat był prześladowany przez Urząd Bezpieczeństwa. W ukrywaniu się pomogła mu rodzina zamieszkała w powiecie Środa Śląska, a szczególnie brat Franciszek - bliźniak, bardzo podobny do pana Ludwika. To podobieństwo często wykorzystywali na kontakty z najbliższymi. Po prostu Pan Ludwik udawał swojego brata. W latach pięćdziesiątych na mocy amnestii pan Ludwik powrócił do normalnego życia i pracy w „Rokicie” w Brzegu Dolnym. Pani Stefania wychowywała dzieci i zajmowała się domem. Jej pasją był ogród, nowe warzywa, a nade wszystko kwiaty. Martkowie mieli czwórkę dzieci, Stanisława, Irenę, Henryka i Zofię. Wszyscy mieszkają na Dolnym Śląsku. Spotykają się przy różnych rodzinnych okazjach w Starym Dworze w domu swoich rodziców i zawsze 1 listopada przy grobach Stefanii i Ludwika. Okres wojny poniewierka, konspiracja, i prześladowania odbiły się na zdrowiu obojgu. Zmarli mając po 65 lat każde. Rodzina Martków to jeszcze jeden przykład rodziny łukowieckiej, zaangażowanej gotowej do poświęceń dla dobra łukowian i wszystkich Polaków.

Przesiedlenie -Transport Nr 3

Autor: Edward Sabat

W drogę na Ziemię Zachodnie transport nasz wyruszył po kilkudniowym oczekiwaniu ze stacji w Chodorowie, oddalonej od Łukowca o około 15 km . Pod gołym niebem, czekaliśmy na uzupełnienie składu pociągu. Podstawiono wagony odkryte tak zwane „lory” Trasa wiodła przez Lwów do Medyki stacji granicznej pomiędzy ówczesną Polską i Związkiem Radzieckim. Podczas przekraczania granicy NKWD dokładnie przetrząsnęło pociąg, a wynikiem tej „kontroli” było zatrzymanie dwóch kapitanów Armii Krajowej: Franciszka Drozda i Władysława Krycińskiego oraz 14-letniego Kuby Burdzego. Smutny to był widok - ludzie tym faktem byli bardzo poruszeni. Po tych przeżyciach pociąg

przekroczył granicę i ruszył w kierunku Rzeszowa. Tu zatrzymaliśmy się na kilka dni. I tu spotkała nas niespodziewana radość, gdyż dołączyli do nas zatrzymani kapitanowie i Kuba Burdzy. Ludzie cieszyli się, widząc ich całych i zdrowych -uściskom nie było końca. Jak się dowiedzieliśmy; Ukraińcy zabili w tym czasie jakiegoś wysokiej rangi NKWU-dzistę, a Rosjanie myśląc o rewanżu, postanowili nie zawracać sobie głowy ludźmi z naszego transportu. Bocznica w Rzeszowie wraz z przyległościami była zawałona grubą warstwą błota i obornika. Musieliśmy czekać na jej odblokowanie. Po uprzątnięciu torów okazało się, że nie ma parowozu. I tu zadziałaliśmy sposobem przedstawionym w Numerze 2 Zeszytów” (przekupienie maszynisty bimberkiem) jednak maszynista chyba przeholował z alkoholem, bo pociąg zaczął pędzić jak szalony i wielu ta podróż zaczęła się wydawać ostatnią w ich życiu. Potworna szybkość powodowała, że zaczął - spadał dobytek z wagonów, brakowało tylko katastrofy - w ten mniej więcej sposób transport nasz przemieszczał się etapami na Zachód, przez Kraków, Katowice, Gliwice z postojami pomiędzy większymi miastami. Gdy dotarliśmy do miejscowości Toszek - położonej 20 km przed Strzelcami Opolskimi, skończyły się szerokie tory i należało przeładować ludzi wraz z dobytkiem na pociąg z normalnym rozstawem kół. Wagony były już lepsze, bo kryte zarówno dla ludzi jak i inwentarza. Radość z tego powodu trwała jednak krótko, ponieważ nie było odpowiedniej długości bocznic kolejowej do podstawienia obiecanych polskich wagonów. Ślamazarne tempo budowy bocznic przez pracowników PKP nie wróżyło niczego dobrego. Sytuację pogarszało jeszcze sąsiedztwo dużego kilku wagonowego składowiska skrzynek z uzbrojonymi pociskami artyleryjskimi. Żadna formacja militarna nie wystawiła posterunków dla zabezpieczenia tej niewątpliwiej „bomby”. Na dodatek młodzież nasza bardzo zainteresowała się tym niezwykłym składowiskiem. Laskowaty proch z pocisków był świetnym materiałem

do urządzania sobie fajerwerków. Po tygodniowym wspieraniu pracowników PKP przez naszych ludzi, ruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę.

Meta docelowa to miasto Wołów. W niedzielę 11 listopada 1945 r. przywitała przesiedleńców ciepła słoneczna pogoda. Po niemal miesięcznej poniewierce podróż była zakończona. Ludzie zaczęli rozglądać się za domami do zamieszkania. Największa ilość rodzin osiedliła się we wsiach Stary Dwór i Wały Śląskie, a po kilka rodzin w innych miejscowościach jak: Jodłowice, Wołów, Brzeg Dolny, Żmigród, Lipnica czy Żerkówek. W sumie w transporcie było 58 rodzin z czego 45 to łukowianie i 13 rodzin z wiosek ościennych.

Rozmowa z Panem Józefem Kureniem - relacja

Jak rodzina Kureniów znalazła się na Łukowcu

Pan Józef mówi: Ojciec pochodził ze wsi Jaty koło Niska. Wyjechał do Ameryki i tam ożenił się z łukowianką - Szotówną. Gdy teść poinformował go o parcelacji na Łukowcu Żurowskim, napisał do niego list pytając - jakie działki, jaka ziemia, jaka cena. Po otrzymaniu wszystkich informacji zdecydował się na powrót do kraju. Ojciec w Pasajku przebywał już ponad 20 lat - stać go było na dużą działkę i tym sposobem rodzina Kureniów znalazła się na Łukowcu.

Siłacze łukowieccy

Tym siłaczem, o którym wspominasz w zeszycie Nr 1 - mówi Pan Kureń - był Chrząstek. Kiedyś zdjął orczyk, założył na oczko za orczykiem skórę, i wzięwszy go w zęby oparł się nogami o wasąg i ruszył przed Łukowiec wioząc na wozie 15 ludzi. Słuchająca tego opowiadania małżonka Pana Kurenia mówi. - Ależ to przecież niemożliwe! - Jak niemożliwe odpowiada Pan Józef. - Przecież ja na tym wozie wtedy

siedziałem!. I jechał tak przez wieś ze cztery kilometry. Pan Kureń mówi: Chrząstek był sierżantem w wojsku i po wojsku wyczyniał te cuda. Na przykład kładł się na metalową szczotkę do czyszczenia koni, przykrywał drewnianymi drzwiami, na te drzwi kładziono kupkę kamieni i młotem je rozbijano. Robiło to ogromne wrażenie na wszystkich. Tym bardziej jeszcze, że gdy wstawał na plecach nie było nic poza zaczerwienieniem w miejscu szczotki. I tak w rozmowie z panem Kureniem znaleźliśmy legendarnego łukowieckiego siłacza, o którym opowiadał mi Dziadek. Innym siłaczem o którym również krążyły legendy był pan Kachel. Potrafił w zębach podnieść stół. Jeden z jego wyczynów opisuje w opracowaniu „Życiorys żołnierza i dwa pamiętniki”, który opublikuję w następnych numerach Zeszytów. Jeszcze innym siłaczem był człowiek o nazwisku Targosz.

Istriebitielne bataliony

Istrebiteľne Bataliony utworzyli Rosjanie dla zapewnienia porządku za linią frontu. Faktycznie, dochodziło do starć tych jednostek z Ukraińcami. Samoobrona z Łukowca przyzwoliła Polakom na należenie do tych formacji, gdyż to dawało gwarancje ochrony wsi. Jeden oddział stał w Bukaczowcach, a drugi w Żurawie. Pan Jan Kuchta, który był w Istrebiteľnych batalionach w Żurawnie podał mi nazwiska łukowian, którzy tam służyli. Byli to **Kazimierz Partyka, Jan Rogowski, Jan Kuchta, Kazimierz Paczkowski, Marian Chmielowiec, Stanisław Turbak, Kazimierz Sikorski, Jan Górz, Stanisław Kureń, Kazimierz Kureń, Jan Wróbel z Karolówki, Julian Kurecki z Żurowa, Władysław Szczęch z Karolówki, Andrzej Rega z Bukaczowiec. Ci ostatni przebywali na Łukowcu jako uciekinierzy.** Pan Jan Kuchta, był na akcji gdy zginął **Stanisław Turbak**, sprostował moją informację podaną w Zeszycie Nr 2, że zastrzelił się on ostatnią kulą. Staszek rozerwał się granatem. Pochowany został przez Rosjan w centrum Bukaczowiec na

Placu Bohaterów pod cokołem. Gdy w pościgu za banderowcami Ukraińcy przeprowadzili kontratak jeden z rosyjskich oficerów został ranny i nie mógł uciekać. Stanisław wrócił do niego. Ostrzeliwał się, a rannemu Rosjaninowi kazał się wycofać. Został jednak trafiony w nogę i znalazł się w sytuacji Rosjanina. Gdy nie było już szansy na ucieczkę, rozerwał się granatem. Pan Kuchta mówił, że za 10 min nadjechało rosyjskie wojsko. Ukraińcy musieli uciekać. Stachu już jednak nie żył. Tę informację o śmierci Stanisława Turbaka przez rozerwanie się granatem potwierdził także pan Kazimierz Paczkowski mieszkaniec Brunowa. Obaj panowie także dość szczegółowo opisali likwidację bandy w leśniczówce pomiędzy Bortnikami, a Młodzieńcami. Oddział partyzantów wracał z okolic Brzozdowiec i Rozdołu, (30 km od Łukowca) gdzie partyzantka łukowiecka wysyłała kilkunastu ludzi do ochrony tych miejscowości. Wracając postanowili zajrzeć do leśniczówki, gdyż wiedzieli, że banderowcy z niej korzystają. Było rano, zauważyli strażnika drzemiącego na stojąco, opartego plecami o drzewo i trzymającego w rękach karabin. Zdjęli go i weszli do leśniczówki. W sieni spał drugi na siedząco. Nawet nie zareagował. Gdy weszli do pomieszczeń zobaczyli śpiących na podłogach ryzunów. Granaty i leśniczówka stanęła w płomieniach. Wydawało się, że nikt nie wyszedł z tej masakry żywy, jednak obaj panowie potwierdzają że jeden banderowiec uratował się, wchodząc do komina. Pan Kuchta był w oddziale, który miał złuzować partyzantów powracających z okolic Brzozdowiec. Likwidacja dużej grupy banderowców była dużym sukcesem partyzantki łukowieckiej. Banderowcy byli z okolicznych wiosek i akcja spowodowała, że przestali zapuszczać się w pobliże Łukowca. Jak szacują mogło tam zginąć od kilkunastu do 30 banderowców.

Żywność i zaopatrzenie.

Osobną kwestią jest zaopatrzenie Łukowca w żywność. Największy głód był na

przełomie 1942 i 1943 rok. W innych latach ludzie jakoś sobie radzili. Korzystano z cukrowni w Chodorowie, której kierownictwo sprzyjało Polakom. Także i duży młyn w Nowosielcach, którego kierownikiem był Polak Gałań, gotów był prawie zawsze do pomocy. Zastępcą Kierownika był tam Ukrainiec Łoza bardzo życzliwie ustosunkowany do Polaków i także starał się pomóc, ile tylko mógł. W jednym z listów do moich rodziców pan Edward Polak zastanawia się, jak właściwie wyżywiła się ta armia ludzi? Nawet rozumie, że część miała jakieś powiązania rodzinne, część ludzi przysłała z trzodą ale część to byli ludzie goli i bosi. Pan Edward Stępień opowiedział mi kiedyś takie zdarzenie. „Rodziców odwiedził znajomy uciekinier. Siedział dość długo i rozmawiał. Ponieważ pora obiadowa się zbliżała mama poprosiła gościa, żeby został na obiedzie, na co chętnie przystał i gdy matka podała jakąś mamałygę -jadł ją jak i domownicy dopychając się chlebem. Gdy podano na drugie danie kluski, ku mojemu zdziwieniu nasz gość nie przestał brać dalej chleba i jadł go z kluskami. Rozumiałem wtedy, że jest straszliwie głodny”. Nawet z tego zdarzenia wynika, że sytuacja Polaków uciekinierów była cięższa, niż ludzi mieszkających stale na Łukowcu. Tą osobą zaproszoną na obiad przez państwo Stępińów to był późniejszy Prorektor Uniwersytetu Wrocławskiego pan Kazimierz Dziedzic.

Kradzież świni!

Pan Kureń nie ukrywa, że to ktoś z rodziny ukradła mu świnkę. Był wściekły, zebrał się i poszedł do Komendanta Polaka ze skargą. Zresztą - jak mówi - wtedy nie było żadnej innej władzy. Polak, po wysłuchaniu sprawy, napisał coś na kartce i kazał iść do Budrysa, któremu podlegał w tych porządkowych sprawach Łukowiec Żurowski. Gdy zjawił się u Budrysa, ten po przeczytaniu pisma od komendanta powiedział: „Proszę iść do domu. Przyślę do pana za dwie godziny ludzi”. Przyszli dwaj partyzanci. Poszedłem z nimi do złodzieja, nie było go w domu, ale moja świnka

znajdowała się u niego w chlewie. Poszliśmy do innej chałupy, gdzie mógł się ukrywać. Kobieta nie wpuszcza nas. Użyliśmy sposobu, ostentacyjnie opuściliśmy podwórze, a po 10 minutach zjawilem się niby sam i mówię: wpuść mnie. Kobieta zapytała: „Sam jesteś?” - Potwierdzam - Wpuściła mnie. Tymczasem partyzanci przez ogródki także wrócili pod domu. Gdy więc otworzyła drzwi, weszliśmy w trójkę. Na łóżku siedzi złodziej - Od razu dostał łomot, kilka razy po twarzy za to że skłamał, a po chwili pouczenie: „Ty złodzieju, szmaciarzu, jakim ty jesteś Polakiem, że swojego, jeszcze z rodziny, okradasz”. Znów parę razy dostał po twarzy, aż krew mu poszła nosem. Poszliśmy do jego domu, zabraliśmy na wóz świnię i wieziemy ją z powrotem do mnie do chałupy. Delikwent był już tak załamany, iż na tym wozie do mnie mówi: „Józek konia ci dam!” - „Nie chcę twojego konia, tylko moją świnię” - odparłem. Był wystraszony, w warunkach wojennych takie rzeczy mogły być różnie traktowane. W każdym bądź razie, gdy przyjechaliśmy z tą świnią do domu, postawiłem partyzantom flaszkę i zagrychę. Cały czas złodziej był z nami. Partyzanci kazali mu wypić. Chociaż nie chciał, przymusili go. I w końcu dwa kieliszki wypił. Bardzo bał się konsekwencji swojego wybryku, który praktycznie skończył się jedynie na pobiciu i odebraniu świni.

Jak Pan Majdański z Józefem Stalinem... się zakolegowali!

Te historyjkę opowiedział mi pan E. Sabat. Gdy Ruscy przyszli w 1939 roku na Łukowiec Majdański pracował w cukrowni w Chodorowie. Kiedyś zabił im się zsypan buraków - potężny metalowy zbiornik u dołu z wąskim przepustem. Cukrownia stanęła. Wysypano buraki i nic, straty duże. W końcu Pan Józef Majdański zdecydował się na opuszczenie, na linach, do środka kontenera i wybranie tych za tykających spust resztek. Po uruchomieniu cukrowni było wielkie - urrra. Zdjęcie, które zrobiono Majdańskiemu

- bardzo dużego formatu - powieszono w biurze cukrowni obok równie wielkiego zdjęcia generalisimusa Stalina. Pan Józef Majdański wstąpił do II Armii Wojska Polskiego i uczestniczył w walkach z Niemcami na terenie dzisiejszej Polski i Niemiec, krótkie przeszkolenie przeszedł w Lublinie. Tam też napotkał Ukraińca - banderowca, który wstąpił do polskiego wojska. Pan Józef nie wytrzymał, rzucił się na niego z krzykiem „Ty sukinsynu żarłeś u nas w domu, a potem przyszedłeś ludzi mordować”. Jak mówił mi pan Edward Sabat, za poważne pobicie tego Ukraińca (obywatela polskiego) Majdański został aresztowany. Dowództwo nie ukrywało niezadowolenia z tego incydentu. W warunkach wojennych najważniejsze było, aby ludzie do wojska się zgłaszali, nikt im jednak w życiorysy specjalnie nie zaglądał. Co jednak Ukraińcowi Majdański nawtykał, to mu nawtykał. Rodzina tego Ukraińca brała udział w zamordowaniu braci Bednarzy, Groszka i Burdzego.

Marcin Majdański -meteorolog

Meteorologiem łukowieckim był pan Marcin Majdański, ojciec pana Józefa. Mieszkał na Łukowcu Żurowskim. Z rozmowy, jaką przeprowadziłem z panią Adelą Słomianą, wnuczką pana Marcina za wiele nie wynika. Pani Adela dziadka nie pamięta. Za dużo nie może powiedzieć o jego hobby. Może tylko to, że jej mama wierzyła w dziadka paranormalne umiejętności. Raz, na oczach mamy, odgonił wielką chmurę, która zbliżała się do Łukowca. Było to w dzień, gdy większość ludzi pracowała przy zniwach. Ponoć wykrzykiwał jakieś słowa kierując je w stronę chmury, a głosy u Majdańskich były od pokoleń bardzo silne. O tym wie do dziś cała wieś Brunów. Proponuję, aby te historię zostawić tak, jak mi ją, z dozą lekkiego niedowierzania, przekazała pani Adela Słomiana.

Yad Yaschem dla rodziny Kuchtów.

Pan Jan Kuchta mieszkaniec Lubina po długim namyśle dał się namówić na rozmowy o Łukowcu. Rodzina Kuchtów uratowała czwórkę Żydów. Trzyosobową rodzinę państwa Libermanów Ester, Dawida i Henryka oraz chłopca o nazwisku Mosze Prinza. Czasy były straszne jak mówi pan Jan, aż nie chce się do tego wracać. Pan Jan udostępnił mi materiały dotycząc uratowanych Żydów Korespondencję z Instytutem Yad Vashem, otrzymany medal i dyplom. Nie ukrywał, iż przeżyli gehennę. Żydzi przechowywali się u nich nieco ponad rok. W lesie, koło domu w łanie zboża na strychu, nad stajnią w zależności od sytuacji. Pan Jan mówi „Mieliśmy małe dzieci, więc one nie mogły wiedzieć za dużo”. Jedzenia przygotowywała Mama, Jedli to, co i my. Mama prała im bieliznę. Towarzyszył nam ciągły strach od pierwszego dnia gdy przewoziliśmy ich z Żurawna na Łukowiec obok posterunku ukraińskiej policji, aż po ostatnie dni, gdy Niemcy na dachu naszej stajni, kilka metrów obok kryjówki Żydów, urządzili sobie punkt obserwacyjny. Na Łukowcu jeszcze w kilku miejscach ukrywali się Żydzi. Aktualnie, nie jestem w stanie za wiele na ten temat napisać. Pan Jan Kuchta mówi: „Na pewno medal należy się też i pani Krawczyk, która przechowała dwójkę Żydów, także u Wołowców ukrywała się Żydówka i u kilku jeszcze innych rodzin. Sprawa Żydów to był poważny problem - tym bardziej, że w oddziałach niemieckich stacjonujących w pobliskich miasteczkach było trochę Ślązaków. Nieraz dawali się przekupić i byli skłonni Polakom trochę pomagać. Niekiedy Niemcy i Ślązacy konwojowali na Łukowiec Polaków ze wsi zagrożonych przez ukraińskie bandy. Przechowując Żydów nie tylko przechowywującym groziła śmierć ale i wieś narażała się na bezpośrednie represje ze strony Niemców. W tej sytuacji, każdy kto do nich wyciągał pomocną rękę, był naprawdę bohaterem.

Dzwon Wojtek!

Niemcy zabierali dzwony kościelne zarówno Polakom jak i Ukraińcom i przetapiali je potem na amunicję. Czasem, w drodze wielkiej łaski, pozostawiali parafianom te najmniejsze. Aby uratować dzwon o nazwie „Wojtek” (największy w łukowieckim kościele) ludność i partyzanci ukryli go podobno w lesie na drzewie, a później przed wyjazdem na Zachód nie chcieli go też zostawić Ukraińcom i zatopili w stawie. Do dnia dzisiejszego tam spoczywa.

Od Autora !

Drodzy łukowianie, czytelnicy „Zeszytów”!

W związku ze sporymi wydatkami na publikację „Zeszytów” zwracam się do Państwa z prośbą o pomoc finansową na kontynuowanie opowieści o historii Łukowca. Nie chodzi tu o zarobek ale o wsparcie, które pozwoliły by mi zrekompensować w części poniesione koszty na przygotowanie i druk „Zeszytów”.

Koszt redakcji i wydania jednego numeru „Zeszytów” wynosi około 1000 zł. Za druk pierwszego „Zeszytu” zapłaciłem 700 zł”, a za druk drugiego 830 zł. Inne wydatki związane z opracowaniem „Zeszytów” to: przygotowywanie komputerowe pierwszych egzemplarzy do sprawdzania, również wysyłka „Zeszytów” do około 50 miejsc, koszt rozmów telefonicznych, a nawet opłaty za benzynę w przypadku gdy jadę z kimś poza Lubin. Czasem także niektórym osobom robię odbitki zdjęć. W Starym Dworze i na Wałach Śląskich z inicjatywy pani Szulc ludzie nabywają „Zeszyty” po 5 zł i jest to kwota akuratna i wystarczająca. Za pierwszy „Zeszyt” zebrałem w Starym Dworze i na Wałach Śląskich kwotę 110. zł. Część gazetek musi być z wiadomych wszystkim względów przekazana starszym osobom za darmo. Pewną pomoc na sfinansowanie „Zeszytów” otrzymałem od mojego brata Wojciecha i siostry Danuty. Poza tym nie wziąłem od nikogo żadnych

pieniędzy. (Niestety, już słyszę, iż niektórym ludziom wydaje się, że ja na tym robię jakiś interes). Na razie tak nie jest. Jak wynika z relacji Pani Szulc, na Starym Dworze i Wałach Śląskich ludzie czasem pożyczają sobie „Zeszyty” do czytania, gdyż nie stać ich na zakup. Myślałem jak rozwiązać sprawę kosztów. Doszedłem do wniosku, że najlepiej podam konto, na które ci co mogą zapłacić mi za „Zeszyty” już otrzymane, ci co nie mogą to niech już tak zostanie jak jest.

Irena Burdzy Bank Zachodni WBK S.A. nr rach. 48109020820000000546057500

Gdyby ktoś mógł i chciał zasponsorować mi „Zeszyt” jeden lub może jego część - to pieniądze proszę przesłać przekazem pocztowym abym wiedział od kogo pochodzą (miałbym po prostu problem kosztów z głowy). Wiem, iż moja propozycja jest mało realna, ale wiem też, iż są ludzie którzy mogą mi pomóc. Ja z kolei zagwarantuję im „Zeszyty” w ilościach jakie sobie życzą. W przypadku gdybym otrzymał kwoty znacznie przewyższające moje potrzeby albo je zwrócę albo zastanowię się wspólnie z panem Sabatem i panem Furtakiem co z tymi pieniędzmi zrobić. Moje zarobki niestety nie są wysokie i bez uszczerbku dla rodziny nie mogę kontynuować prac nad „Zeszytami”. Grozi mi i taka sytuacja, że po prostu napiszę jeszcze 2 czy trzy „Zeszyty” i będę je trzymał do momentu, gdy wygospodaruję jakieś pieniądze na druk. Albo będę je trzymał w kilku wydrukowanych komputerowo egzemplarzach. Kilka osób już mnie pytało ile za te „Zeszyty” mają zapłacić. Odwlekałem sprawę, gdyż nie chciałem dopuścić do sytuacji, zbierania od ludzi po 5 zł za „Zeszyt”, bo jest to po prostu krepujące.

- Koszty matrycy są stałe bez względu na to czy drukuje się 50 egzemplarzy czy aż 200 000.

Zamiarem moim jest przygotowanie minimum siedmiu, ośmiu gazetek. Mam pomysł umieszczenia w nich czterdziesto kilku stronicowego opowiadania o życiu Antoniego Faszynkiedra - łukowianina mojego dziadka i mam nadzieję, że będzie

ono interesujące dla wielu łukowian. Rodzina Faszynkiedrów spowinowacona jest przez żonę dziadka z rodzinami: Ziejańskich, Januszów, Pieniackich, a przez dziadka dzieci spokrewniona z rodzinami; Puziów, Burdzych, Szyszków, Czajów z Oskresiniec i Szulców z Kozar. Także myślę, iż wielu łukowian sąsiadów i znajomych dziadka utożsamia się z jego przygodami i relacjami. Tym bardziej jeszcze jest to zasadne, że spora grupa łukowian walczyła tak jak dziadek na Zachodzie. Wracając do „Zeszytów”, zaczynam odczuwać pewien niepokój, iż może robię coś nie tak, może wyciągam za daleko idące wnioski. Staram się jednak przypomnieć Łukowiczom ludziom i mam nadzieję, że to mi się uda.

Pragnę też poinformować, że mam dużą pomoc w osobie Pana Edwarda Sabata. Wprowadza on do „Zeszytów” trochę swoich spostrzeżeń. Na przykład zwrócił mi uwagę że: pisząc o śmierci Władysława i Stanisława Bednarzy, Kazimierza Burdzego i Jan Groszka, użyłem niestosownie słowa „zabici” - „To nie byli ludzie zabici” - mówił pan Edward - „to był ohydny mord chłopców którzy jechali do swojego domu do wsi Karolówka po pozostawione rzeczy”. Podkreślał, że jeszcze dziś rodziny mogłyby mieć pretensje do takiego określenia zbrodni „Tych trzech wiszących na lejcach chłopców odcinał między innymi pański ojciec” - mówił Jeden z zamordowanych, Kazimierz Burdzy, który prawdopodobnie nadszedł na to zdarzenie i próbował ich ratować, miał głowę przerąbaną siekierą.” Sporo nowych informacji o Łukowcu uzyskałem na spotkaniu z panem Janem Kuchtą panem Kazimierzem Paczkowskim paniami: Adelą Słomianą i Elżbietą Jandulską. Spotkania zawsze przynoszą coś ciekawego. Można zweryfikować informacje, które się posiada i dowiedzieć się czegoś nowego. Moim ostatnim rozmówcą przed wydaniem 3 numeru „Zeszytów” łukowieckich” był pan Grzegorz Woś mieszkaniec Lubina wcześniej zamieszkiwał w Brunowie. Pan Grzegorz ma dość pokaźną ilość zdjęć z Łukowca. Podkreślił niesamowity wprost

awans łukowian. Zdolności konstrukcyjne rodzin Babulów i Paczkowskich, (wiatraki, motolotnia, maszyny ciężkie rolnicze). Lasotowie i Nickowie wszyscy praktycznie zdobyli wyższe wykształcenie, a wiele osób z tych rodzin zajmuje wysokie stanowiska w zakładach KGHM. Jeden z Iwanickich był podpułkownikiem. Jeden z łukowian Wiceprzewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu - wymieniał długo znanych mu - łukowian, ludzi z których awansu wszyscy po trosze możemy być dumni.

Dziękuję za telefony Pani Stępniewskiej z Wrocławia, pani Porosińskiej ze Środy Śląskiej oraz pani Dębickiej z Marcinowic. Spróbuję spotkać się z panem Edwardem Puziem ze Szklar z Kolonii. Mam także zaproszenie do Państwa Maciągów mieszkających w Zabłociu. Jeden z moich kolegów, Marek Borowik, pochodzący z centralnej Polski, zarzucił mi, że raz jest napisane iż panowie byli dobrzy (we wspomnieniach Janiny Szulc), a w innym miejscu, że nie troszczyli się o byt chłopów ukraińskich i polskich (uwagi pana Władysława Skowrona do życia ludzi w Oskrześnięcach). Co ja na to poradzę, że są różne zdania. Po prostu ja je przedstawiam. Kolega zarzuca mi jeszcze, że nie ma moich sądów na temat tamtej rzeczywistości. Mam swoje zdanie ale nie koniecznie musi być ono najważniejsze, bo najistotniejsze jest ukazanie tego, co na Łukowcu się działo - jakiejś atmosfery, a jeżeli nawet nie atmosfery to chociaż faktów, które miały miejsce, sposobów rozwiązywania niektórych sytuacji. Przykładem to zdarzenie z kradzieżą świni ukazuje mechanizm działania samoobrony w sprawach porządkowo - administracyjnych. To, że piszę, o niektóre wsie, że były biedne, nawet przerażająco biedne, a w innych jak na Łukowcu ludziom żyło się różnie, niewiele wyjaśnia. Gdy miałem 18 lat leżałem w szpitalu w Lubinie. Ludzie leżący obok - kresowiaczy jeden z nich pochodził z tarnopolskiego (pan Śliwiński mieszkający w Lubinie na ul. Kolejowej) - opowiadał cuda: W końcu zapytałem. „Czy

to możliwe aby jabłka rosły w lesie?" - odpowiedział: - Tak, bo tam był wcześniej zamek i ogród. Gdy zapytałem - Czy to możliwe, że każdy na jego wsi miał pszczoły? - Odparł - „No nie każdy, ale co drugi i to na 100 procent". - Gdy zapytałem grzecznie: - Czy opowiada o swojej wsi, czy może o raju na ziemi" - odparł: O swojej wsi.! Ile dodał, pojęcia nie mam, ale nie mógł to być człowiek żyjący w biedzie i nędzy. Tak, więc Marku na wszystkie tematy są różne zdania i wszystkie te . różne zdania chcę uszanować!!! Na zakończenie „Zeszytów" pragnę przytoczyć jeszcze sekwencję pana Edwarda Sabata dotyczącą „Pioruna": „Gdy został Zastępcą Komendanta Łukowca miał 21 lata. Dla wielu łukowian to był dzieciak. Część z nich nie mogła się pogodzić z faktem, że ten młokos z zewnątrz rządzi praktycznie wszystkim. Co noc na 42 placówkach w obu Łukowcach czuwało od 500 do 600 ludzi. On nadzorował warty, ludzie, nawet z największym autorytetem na wsi musieli go słuchać i wykonywać jego polecenia".

Opracował teksty: Franciszek Burdzy
Zdjęcia: Piotr Król, Adela Słomiana, Ludwik Babula, Julia Gnojska, Zofia Paluchiewicz, Grzegorz Woś, Rodzina Bednarzy, Elżbieta Jandulska.

Adres i telefon kontaktowy: 59-300 Lubin, Ptasia 93, tel. (076) 8446049

nakład 275 szt.